STEFAN ŻEROMSKI

SŁOWO O BANDOSIE

WYDANIE NOWE



WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

SŁOWO O BANDOSIE

WYDAWNICTWO DOBRA KSIĄŻKA
WROCŁAW — 1946 — KATOWICE

STEFAN ŻEROMSKI

SŁOWO O BANDOSIE

WYDANIE NOWE



WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
WARSZAWA — 1946 — KRAKÓW

PAŃSTWOWE ZAKŁADY GRAFICZNE Nr. 2, Wrocław — 847 (F 0228)

W podgórskich, kamienistych działkach kieleckich, na jałowych sapach, przez które sączy się zaskórna woda z żelaznych rudawisk, na radomskich piaskach podsośnianych, na opoczyńskich krajach — smętniskach, gdzie się „korzec sieje, kopę zbiera, a kopa korzec daje" — hoduje się dola bandosa. Siedzi przykucnięta w bruździe, pośród sczerniałej, ziemniaczanej naci, kędyś pod jałowczykiem, kędyś pod kępą łopianu, na wąskim wygonie, między owsem a żytkiem — jako pasturka, łachmanami od oka ludzkiego okryta, workiem od dżdżu. Tuła się wzdłuż gościńców, po rowach kurzem przydętych, wyciągając ku bryczkom przejeżdżającym obdartą, chłopczyńską czapczynę. W kłębuszek skręca się z choróbsk tajemnych po zapieckach i werkach izb — szkarlatynek. Patrzy długo zza przepalonych szyb czworacznych na przejeżdżających paniczów wielkimi, strasznymi, ojczyźnianymi oczami. Płynie w białej trumience pomalowanej lubryką pod rosą święconej wody u kościelnego proga i na ugór cmentarny.

Gdy się poczyna okrutny, nikomu i niczemu nie przepuszczający przednowek, wychodzi w dal — za Pilicę — rzekę, w „pszenne kraje".

W pustych wioskach kieleckich zostaje jeno dziad strupieszały, oślepła, kudłata babka, koślawiec, niemowa lub obłąkana latawica. Bywa wtedy, że opuszczony, stary człowiek prosi się z głodu i biedy o śmierć, jak o łaskę. Bywa wtedy, że bezsilni ludzie żywią się mąką z kory olszowej w żarnach mielonej, mleczem ziarna ledwie okwitłego żyta, garsteczką kaszy mannianej, o białej rosie osmykniętej na cudzej łące.

Ciemne chaty z nisko nawisłym, czarnym dachem, głucho zamknięte kluczem drewnianym na wrzeciądz bukowy zostają same. Drożyny od gościńca do drzwi prowadzące zarastają trawą. Ze wsi ucieka ostatni towarzysz schroniska ludzkiego — wróbel. W inną okolicę wynosi się opuszczony pies.

A za Pilicą, za Wisłą, w „pszennym kraju“ słońce pali bandosa grzbiet, zgięty od świtu do wieczora. Twardy jest trud całodzienny na skwarze w pańskim polu! Jak mgnienie oka krótki jest sen w parną noc letnią. Od rannej zorzy po sierpem zajętym zbożu rozlega się surowa i wrzaskliwa bandoska pieśń:

„Dobrze temu dobrze, kto komu łeb odrze,
Jesce temu lepiej, kto kogo oślepi“...

Lał się bandosa pot cuchnący w szmaty zgrzebne i w rudą jego sukmanę przez wieki. Żarło go robactwo, okrywał brud i osaczała ze wszech stron tajemnicza choroba, żeby pańskie dzieciątko jaśnie świeciło zdrowym ciałkiem i galanto uczesanymi włoskami. Wyklęczały jego kolana żłobowiny głębokie w kamiennych posadzkach wysokich kościołów, wycałowały jego usta jakoby nowe rany w Pana Jezusa przebitych nogach po kruchtach, żeby jaśnie pan dostojnie mógł siedzieć przed Bogiem we stalach, dumnie a pewnie spozierać na cichy swój lud, a pięknego pogładzać wąsa.

Taka jest przez wieki nasza rzeczpospolita.

Płakał ongi, przed wieloma wiekami nad żałosną żeńców dolą polski poeta:

„Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego:
Ty wstajesz, kiedy twój czas, jemu by się zdało,
Żebyś ty, o słoneczko, o północy wstało“...

A czy też kiedy w dalekiej przyszłości polski bandos dolę swoją w kamieniu wyklęczy? Czy ją wycałuje z pana Jezusowych nóg gwoździami przebitych? Czy ją wydepce opuchniętymi nogami z nieskończonych kolein drogi między swoją czarną chatą a dalekim, pszennym krajem? Czy też ją ostrą kosą wykosi z wonnie szumiących traw, czy ją kiedy wyrznie sierpem pracowitym z jarego zboża świętej ojczyzny? Kiedyż ustanie skarga żeńców, lecąca po rannych rosach z pokoleń na pokolenia? Kiedyż się żeńcy polscy z miłością nachylą ku zbożu dostałemu i kiedyż szerokim zamachem potęgi zagarną pokos trawy szumiącej, nie mój, ani twój, ale nasz, ojczysty?!...

„Kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego“.

Zdarzyło się onego czasu, że daleko — daleko szedł bitymi gościńcami samotny, wiejski chłopczyna.

Wracał do dom w kieleckie góry. Pojęli go byli ze sobą ludzie we światy, bo w chałupie, zawartej na głucho, nie miał przy kim pozostać. Żął we żniwa z innymi, wiązał, dźwigał snopki i układał w sterty. Napatrzył się pięknych paniczów, harcujących ścierniskami na spasionych kucach, nadziwował się pannom, bokiem dosiadującym dzikiego ogiera, naślepiał się na pałac wielkookienny. Śpiewał panom podchlebne pieśni w dożynki...

A gdy ludzie po żniwach wracali i uszli już mil wiele, rozpuchła mu bardzo w kostce prawa noga. Szedł, utykając, z wielkim pośpiechem, żeby nadążyć. Bardzo się ludziom śpieszyło do chałup, więc go z jednego noclegu odeszli. Wlókł się tedy sam daleką, obcą drogą...

A jechał oną drogą na siwym koniku panicz wesoły. Zobaczył bandosa, siedzącego nad rowem, jak se głowę układał na pościeli z pryzmy kamieni szosowych, i z ciekawości zlazł

ze swego konika. Zagadał. Popatrzał na nogę spuchniętą, wejrzał w tajemnicę oczu zamglonych... Przepytał się, jak i co. Poczęli obadwaj gwarzyć pomiędzy sobą. Gdy konik siwy szczypał trawkę przykurzoną, wszystko paniczowi bandos rozpowiedział: — o długości dnia, gdy się z sierpem na klęczkach idzie przez nieskończoną niwę — o głodzie przedwieczerza i dobrotliwych zachodach — o smaku niewysłowionym zimnej wody we dzbanie — o bardzo krótkiej nocy i świcie niezbłaganym — o chłodzie rosy porannej, przez którą stopy brną z noclegowiska na niwę — o rozpuchniętej nodze i zabijającej duszę długości nieznanej drogi — o zimowym wzdychaniu podstrzesznym, o komorniczym tęsknieniu ku onej pracy przednowkowej na znojnym pańskim polu — i o dróżce zarośniętej pod progiem czarnej chałupy...

Zaszkliły się paniczkowe jasne oczy i sposępniała wesoła twarz. Siadł obok, tak samo na pościeli z kamieni, głowinę położył i słuchał. Tak się ta wtedy na wieki wieczne rozmówili bandos z paniczem.

Coś sobie szeptaną mową zaprzysięgli wraz. Aż do zgonu. Panicz wziął w swe piersi serce bandosa, a swoje serce w jego piersi wcielił.

(Poczuł snać w sobie wtedy po dziadach, pradziadach ocknione widziadło, wyklętą, wykadzoną zmorę: — duszę rycerza). Krwawą bandosa dolę przypiął sobie do lewego boku jak zardzewiały, w ziemi wykopany brzeszczot mieczowy. Rąbać nim począł z ramienia ślepymi ciosami mrok zagęstniały i z dawna narosłą przemoc w ojczyźnie.

Wtrącał się wszędzie, był wszędzie, poeta, błędny donkichot, Rycerz—Bandos.

Deptał strudzonymi nogami wszystkie gościńce idejów, swoją własną żadnej nazwać nie mogąc, bo oczy niedościgła porywała dal, a stopy palił sandał z płomienia.

Wdzierał się na niedościgłe percie wyklętych marzeń, na strome, w skałach kute stopnie poznawania, na śmiesznie zawrotne urwiska złudzeń potęgi.

Nad nim i nad bandosem jedna była dola i jedno niebo. Ścigał ich tęgi, zdrowy śmiech, urąganie, wyzwiska, potwarze i wszystkie groźby, od najprostszej, najpoczciwszej, międzyzdrowaśkowej, aż do bardzo złożonej, nowoczesnej, niemej, mówiącej jedynie połyskiem z zanadrza noża skrytobójcy.

Był czas, że bandos oślepłe oczy podniósł od gnoju wywalanego na pańskie pole, odjął ręce od pługa, przewracającego zagon cudzy. Z klątwą wściekłości na spękanych wargach wyprzągł się był z pańskiego kieratu i wyszedł z czworacznego chlewa, gdzie się jego dzieci po społu ze świniami tarzają. Ruszył wtedy za przewodnikiem.

Ten zaś, kto mu przewodził, opierał się na nim.

Jest bowiem w Polsce zasada najżywotniejsza, że ilekroć kto przewodzić zamierza, na kimś „opierać się" musi.

Jeden opiera się na księżach, drugi na fabrykantach, trzeci na szlachcie, czwarty na żydach, piąty na chłopach, szósty na robotnikach z fabryk.

Był i taki, co się nawet „oprzeć" postanowił na tobie — żal się Boże! — parobku.

Nie wiedział ciemny bandos, że nie trzeba było takiego słuchać i za tym iść, kto się na innych opiera.

Nie wiedział, że taki schlebia tylko nędzy, żeby szła za nim i waliła się pod jego stopy, a on zaś stanie na niej jako na wzniesieniu. Jakże to miał poznać bandos od brudu i nędzy oślepły, kto z wodzów ma duszę czystą i ręce czyste? Miał-że odepchnąć pochlebcę i wybrać tego, co nie nosi w ustach miodu, lecz gorycz? Jakże miał w tłumie pochlebców poznać tego sprzymierzeńca, co uderza płomiennym słowem w motłoch

klechów, w motłoch szlachty ze dworów, w szajki fabrykantów, w gromady chłopów, co na swych morgach siedzą, w żywe masy robotników z fabryk, a nawet w pierś niezakrytą jego, bandosa, który jest najbardziej ze szmat obdarty w ojczyźnie, chudy jak Chrystus z przydrożnej pasyjki — jego, co swoją nie może nazwać łyżki drewnianej, którą warzę do ust niesie, barłogu, na którym nie dosypia i grobu, w którym po trudzie ma spocząć!

Jakże to bandos miał wyrozumieć i pojąć, że ten jeno mówi prawdę godną posłuchu, kto motłochowi nie schlebia, że ten jeno mówi prawdę godną posłuchu, kto idzie przeciw motłochowi z żagwią prawdy?

Jakże to miał poznać, że ten jeno mówi prawdę godną posłuchu, kto się na nikim nie opiera, lecz się opiera na samym sobie — kto samego siebie przeciwstawia motłochowi!

(Choćby tłum świstał, choćby wył, choćby się zmawiał w bojkot, w ogłodzenie, choćby przekupywał skrytobójcę — on uśmiecha się do swojej prawdy).

Jakże to miał poznać ciemny bandos, że tylko ten głosi prawdę godną posłuchu, kto wzywa do walki o każdego cierpiącego człowieka, o wolnego człowieka, o cały tęskniący a uwięziony wolny duch. Albowiem tylko ten wyniszcza w Polsce nasienie czarnej seciny.

Czasu owej dziwnej jesieni, jesieni, co była jakoby w klepsydrze włoskowata cieśnia, przez którą miała się z jednej otchłani czasu przesunąć w inną nieznaną wszystka zawartość dziejów plemienia — Rycerz — Bandos dał się unieść złudzeniu. Pod górą, przedwiecznym grodziskiem, wśród łąk stał na mównicy.

Jak najcudniejsza łąka słał się lud ze wsi dalekich, z miasteczek, z izb rzemieślniczych, z nor nędzarzy. Wśród tłumu stała szlachta z pałaców i dworów, „inteligencja" rozmaitych zawodów. Nad głowami wszystkich powiewały symbole braterstwa idei. Rycerz—Bandos mówił na temat tej prawdy, wyszarpanej z męczeństwa przez poezję polską:

„Ty nie jesteś mi już krajem
Miejscem, domem, obyczajem,
Państwa zgonem, albo zjawem,
Ale cnotą, ale prawem"...

A kiedy zstąpiwszy z mównicy szedł z odkrytą głową w wielkim tłumie chłopów, rękodzielników, wyrobniczego mrowia, parobków i nędzarzy, śpiewających pieśń radosną, kiedy patrzał na szczyty drzew przed wiekiem sadzonych, które zdawały się wyciągać ku niebu konary i witkami śmiać się ku chmurom, mówił do duszy swej:

— Nareszcie, teraz nareszcie złączyło się rozdzielone serce ich! Okaże teraz szlachcic polski wielkość duszy, która przecie samą siebie w trudzie tylu lat przezwyciężała. Odpasze wreszcie złotolity pas i zrzuci z ramion kontusz czerwony. Zstąpi w piastowski lud i stanie się ludem. Najpierwszy jego narodowy czyn będzie zniesienie aż do najdalszej granicy nędzy parobków, podźwignienie aż do chrześcijańskiego wspólnictwa we wszelkim dobru robotników rolnych. Nie przymusowe, lecz dobrowolne wywłaszczenie! Będzie wśród nas milczący majestat wielkiego uczynku, gdyż będziemy jeden lud, szarpiący w ciszy powrozy swych nałogów, zdzierający wrosłe w ropę ran przepaski złudzeń. Prawo, które teraz wpośród nas jednogłośnie, starym obyczajem zapadnie, zaświeci w mroku świata, jak na początku Szczerbiec, trzaskający w bramy wschodu. Niechaj śpią kości rozmiecione po okręgu ziemi! Niechaj spoczywają pod błogosławieniem popioły rozsypane. Tak się daleko, tak szeroko, tak głęboko musiał

rozpostrzeć polski duch, żeby mógł samego siebie przemóc i zwyciężyć. Wszystko się dobrze dokona na użyźnionych popiołami rolach! Nie trzeba w Polsce rewolucji socjalnej. Kto pierwszy znalazł *liberum veto*, ten pierwszy zniweczy na ziemi rewolucję socjalną. Rozpustne swoje hasło: — „zastaw się a postaw się!“ — przemieni szlachta polska na najwyższe hasło świata. Zastaw się jak wygnańce w ziemię cudzą i w ziemię sybirską! Nie zostaw sobie nic prócz wielkości duszy. „Zastaw się a postaw się“ — jak owo światełko w zwalisku, jasna zorzeńka ojczyzny nowej, Stanisław Worcel, jak hetman kresowy, opuszczony od wojska, umarły na dzikim polu, Stanisław Żółkiewski. „Zastaw się a postaw się!“ — jak Joachim Lelewel, który w izbie nędzarza mieszkał i bluzą robotniczą grzbiet nakrywał, a obdarzył naród zwierciadłem jego dziejów; — jak Bronisław Trentowski, który nie miał za co kupić książki potrzebnej do badań, a zostawił po sobie niezniszczalny gmach myśli; — jak Adam Mickiewicz, który zastawiał kopertę zegarka, żeby dzieci wyżywić, a darował plemieniu świętą koronę jego bytu i niezniszczalną na wieki konstytucję; — jak ów Cyprian Norwid, ośmieszony, nieznany, który umarł w przytułku, a zabrał ze sobą odtrącone przez dzicz księstwo poezji, dziś na nowo przygarnięte i wrosłe w świętą koronę; — jak ten za naszych dni czysty przychodzeń z góry ducha, przynoszący obłudnym faryzeuszom pozew przed ołtarz, Antoni Szech, który nim słowo zwiastujące mówić począł, oczyścił się w zimnej kąpieli czynu; — jak Stanisław Witkiewicz, co chudą swą ręką, między jednym a drugim krwotokiem pracując, zabudował kraj własnym węgłem i nakrył go własnym dachem — a sam mieszka w zimnej izdebce góralskiej...

W istocie, w istocie...

Zaledwie rok upłynął od owej chwili, gdy panowie dziedzice w „pszennym kraju“, w pięknej ziemi lubelskiej zjechali się wielką gromadą w wiekopomnym grodzie Lublinie. Głęboko w tajemnicy radzić poczęli nad tym, jak, w jaki sposób odebrać drobną podwyżkę parobczańskiej płacy, którą byli parobcy w lecie na panach zmową wymogli. Nałożyli na siebie panowie dziedzice niemały podatek od włóki dla złamania solidarności parobków.

„Zastaw się a postaw się!“

Ktokolwiek do zmowy ucho podawał, dostał od dziedzica znaczek sekretny, cyferkę na książce służbowej, herb nowego nadania. A każdy taki herbowy wyrzucony został ze służby na zimę. Z książką swą, oznaczoną tajnym, niewiadomym mu herbem, szedł od dworu do dworu, szukając pracy, dachu nad głową, czworacznego chlewa, w którym by jego dzieci barłóg mieć mogły i ciepło zimowego smrodu. Lecz wszędzie go wyszczuwano za bramę. Śmiech go ścigał. Wszystkimi drogami pszennej krainy, ślicznej ziemi lubelskiej snuły się kompanie głodnych wygnańców.

W taką formę, w taką „cnotę“ i w takie „prawo“ — odlała się nasza wola w tych dniach powiewu swobody. Mądrzy są polscy panowie.

Zupełne jest ich zwycięstwo. Złamali solidarność zmowy ku podwyższeniu płacy o parę rubli na rok, o parę korcy ziarna na życie, o krótszy dzień roboczy — odtrącili i wdeptali w ziemię żądanie ochrony dla dzieci, lepszego traktowania dla siebie, lepszego chlewa na legowisko. Głęboki rozum panów wszystko w tym dziele „narodowym“ przewidział. Wrócił się parobek złamany do ich kolan. Padł do nóg pańskich. Znowu musiał przyszwę buta ucałować. Jęcząc błagał, żeby go znowu na dawnym prawie do kieratu wziąć za płacę, jaką dać raczy dłoń pańska i żeby mógł w czworacznym barłogu znaleźć legowisko.

Niesie teraz na barach schylonych głuchą, okrutną, ciemną

swą zemstę. W duszy dźwiga niewypowiedziany ciężar sprawy przegranej, kamień żarnowy. Bo to on dźwiga teraz ciężar sprawy przegranej! Dla niego, pariasa obdzieranego ze szmat, pozbawionego prawa do nauki, autonomiczna wolność — to przecie nic innego, tylko dostateczny kawałek chleba, krótszy dzień pracy, szacunek dla jego człowieczeństwa, wyższa zapłata za pracę i prawo do oświaty.

Kiedyż kłamstwo nasze uzna tę prawdę?

W głuchej nocy swego tułactwa po dalekości dróg, na skutek bezrozumnej zemsty dźwignął bandos kamień żarnowy, przytłaczający serce. Szaloną z rozpaczy dłonią, ze straszliwie skutecznym przekleństwem cisnął go na środku drogi.

I potknęło się o kamień ten Szczęście polskie, Ojczyzna nasza.

A w końcu tych dwu nadzwyczajnych lat — cóż my o sobie powiedzieć możemy? Cóżeśmy uczynili z użyczenia losu? Cośmy podłego zwyciężyli w sobie, wytępili nikczemnego, cośmy stworzyli na nowo z nicości? Jakiż jest znak woli naszego ducha, który by można palcem wskazać, jaki symbol wewnętrznej potęgi, do którego by przypaść mogło serce? Czy choć granitowa potworność ślepego czynu?...

W ciągu tych dwu nadzwyczajnych lat można było przekonać lud, że nasza myśl, nasze marzenie, nasz sen o przyszłej ojczyźnie jest jego dobrem.

Można było wymową wszystkich ust przekonać lud, żeby on swoją dolę wziął z naszych rąk w swe ręce.

Można go było zakląć, żeby świętą koronę z cierni, zeschłej krwi i bezcennych wersetów po naszemu uczcił i po swojemu do piersi przytulił.

W ciągu tych dwu nadzwyczajnych lat można było pokryć kraj siecią stowarzyszeń spółdzielczych. Można było spoić stan robotniczy związkami zawodowymi w olbrzymie, żywe organon, które tyłem zwrócone do wszelkiej polityki, wytraciwszy z dusz nienawiść proletariusza do proletariusza, przede wszystkim byt jego zasadziłoby we wspólnotę, jak drzewo owocne w ziemię. Można było założyć setki kół rolniczych, które by tworzyły wielką kooperację rolną. Można było w głuchych, brudnych, odrażających mieścinach tworzyć związki rzemieślniczo-rolne. Można było zbudować tysiące szkół i ochron. Można było przecie rzucić w tę pracę wszystek

entuzjazm i wszystek polski majątek aż do ostatniego szeląga. Można było stworzyć centralne muzeum społeczne i łańcuch muzeów prowincjonalnych. Można było budować szkoły rolne, sale wykładowe, teatry wiejskie, sale wystawowe i oddawać sztukę polską ludowi.

Ale my przecie, jak wiadomo, jesteśmy „ubodzy".

Nas „nie stać".

Martwym odłogiem leży ziemia. Naród nasz nie chciał przezwyciężenia samego siebie, przełamania swojej niewoli, która leży wprawdzie i na zewnątrz, lecz nade wszystko leży w duszach.

Gdybyż, jąwszy się z takim entuzjazmem kontrrewolucji, klasy „przodujące" w narodzie wydały były ze siebie siłę innego porządku, która by nowym tworzywem napełniła życie!

Jakąż one wykazały siłę?

Na Macierz Szkolną, wezwane przez najtkliwiej jakoby umiłowane zawołanie nie złożyły dwustu tysięcy! Nie zdobyły się na najniższą, najelementarniejszą cechę czynu społecznego, na ofiarność grosza, na obcięcie budżetu zbytków. Dwu, trzech magnatów o milionowych dochodach rocznych mogło ugruntować oświatę w kraju. Ale tu nikt nie żywi żadnej pasji, żadnej ambicji milionera amerykańskiego. Społeczność ta umie tylko i chce leżeć bezczynnie, jak szlam w stawisku — płynąć biernie po szlakach najsłabszego oporu, jak zaskórna kurzawka i beczeć, jak stado owiec, gdy bat na grzbiety spada. Mężny samotnik jest tu zawsze między gruntem a niebem na poprzecznym drewnie, obrzucony kwiatami przekleństw — nowator, zapuszczający pług głęboko w nowinę namuliska, zbojkotowany, ogłodzony i bryłami oszczerstw zawalony w żebraczym dole. Pan tylko zawżdy „rządzi" w pomroce chłopstwa ku swej korzyści i wygodzie przez fagasów, trzymających się jego klamki. Biskup odprawia publiczne modły o odwrócenie klęski powszechnego głosowania, a rabin nakazuje

post trzydniowy o odwrócenie klęski rozwoju kooperatyw spożywczych.

Kto przeczytał nieustraszonymi oczyma dzieje końca Rzeczypospolitej, ten wie raz na zawsze, czym była i jakie przyniosła owoce przemoc możnowładcy. A przecie od tego samego, na czym się wszystko skończyło, od przepłacania na sejmikach ciemnych, pijackich band przez żądnych władzy magnatów, po upływie stulecia z górą miało się zacząć.

Znowu przepłacanie ciemnych band motłochu dla zduszenia „ducha leżącego pod męką ciał"... Przybyło tylko, czego przed wiekiem nie znano — dziennikarstwo. Słowa: „Polska, ojczyzna, naród, kraj, społeczność" — poczęły służyć do tego celu, żeby snobizm ciemnego tłumu mógł być podżegany skutecznie, a interesy magnatów i bankierów osłonięte sztandarem. Przez pewien odłam dziennikarskiego motłochu święte wyrazy zostały zhańbione i pozbawione wewnętrznej treści. Zbezczeszczone zostały najtkliwsze dźwięki popowstaniowego języka, dostojnej mowy, w szkole milczenia zahartowanej jak płytka stal, chowanej na piersiach jak ryngraf.

Nazwy idei nie to w niej dziś znaczą, co znaczyły i co znaczyć powinny. Należałoby stworzyć nowe Słowo, nowy ornat i nową mitrę dla niezniszczalnych idei.

Lecz któż może posiąść tę moc? Kto się poczuje na duchu, żeby skinieniem szpady zniweczyć bezwład wewnętrzny. Niewolę dusz? Żeby przemówić? Do kogo mówić? Słuchacz — to Walgierz Udały. Jakież i czyje słowo podźwignie jego senną głowę, zgnuśniałą prawicę? Któż mu każe, żeby łachman swój zwlókł i wstał z barłogu jak duch?

Nie zrozumiany został przez to pokolenie ten, co po promieniach uczucia wstępował w niebiosa i na serca wyzywał Boga, czterykroć nowator, niepokojący świat aż do zgonu.

Jego siwa, bodze — podobna głowa opatrzyła się oczom, lecz jego święta w ludzkości dusza, jego lwia wola obca jest i wydziedziczona z posłuchu. Czy został wchłonięty przez plemię ów drugi, nieustraszony Warneńczyk w przestworach ducha, co roztrącał przez życie mieczem mękę ciał i okazał, jak duch korzysta z mogił? Ich mowa, złożona z płomiennych języków, słania się jak błędny ogień nad bajorem dwudziestomilionowego narodu.

Do kogo przemówią wielkie żywoty, godne pióra Plutarcha albo Carlyla, nieznane dzieje trudów Hoene-Wrońskiego, Worcela, Nabielaka, Libelta, Trentowskiego, Konarskiego, Rufina Piotrowskiego, Gustawa Erenberga, Aleksandra Krajewskiego, Szwarcego i tylu innych, których pokryła noc niepamięci? Jaki został ślad po tych, którycheśmy mieli szczęście pośród siebie widzieć, po Marianie Bohuszu i Bolesławie Hirszfeldzie, Synach nieśmiertelności? Rzucali w otaczające bajora wszystkie wybuchy ognistej woli, która ich trawiła, wydarli ze siebie z korzeniem dusze, a oddawszy je na karm żarłocznej ciemności, pokonani przez rozpacz, w tajemnicy zadali sobie mężną śmierć. Do kogo przemawia wysokie słowo Stanisława Witkiewicza i Stanisława Wyspiańskiego?

Przemówi do nich napewno „polityk“, gdy cuda sprytu, podpatrzone przez dziurę od klucza w pruskich urzędach policji i galicyjskich cyrkułach przyniesie na te piaski i nauczy skrytobójców, jak „bratnią krew przelewać“. Trafi do dusz, gdy o tych swoich dokonanych czynach i gigantycznych zamysłach wygrania „wojny domowej“ w publicznej mowie, z bajeczną genialnością zda sprawę. Przemówi do nich pierwszy z brzegu kauzyperda postępu czy reakcji, byleby umiał migotać znanymi frazesy, byleby zapewnił, że on za wszystkich wszystko „załatwi“, a społeczność polska będzie miała nietknięte dochody, umiłowany bezwład, spokój od nowatorów, wybory, karnawał i operetkę.

Przemówi do nich poliszynel wiecowy, podniecający na tle rozwartych kloak wyborczych tłum katolicki na tłum żydowski i tłum żydowski na katolicki, byleby umiał sprawić ten skutek, żeby wola karierowicza stała się wolą biednego i ciemnego pospólstwa.

Spuścił Krzyżak czarną przyłbicę i wywlókł z zanadrza puginał. Zada w nieokryte piersi polskiego chłopa cios nieomylny. Oparł się o ziemię rolnik poznański i ku nam spogląda, nim wyda krzyk swój śmiertelny.

A u nas — żebranina u drzwi szlachetnego cudzoziemca o kość litości, o odczepne, dobre słowo — gadanina wiecowa i rezygnacja, dyrektywa dusz naszych.

Wyciąga po nocy poszukujące dłonie i ciężko wzdycha w ciemnej niewiedzy ocknięty lud po chałupach Mazowsza, Podlasia, Małopolski. W zapadłych wioszczynach pracują młodzi chłopi, przedzierzgnięci w obywateli, z mozołem ponadsilnym zakładają szkółki, tworzą czytelnie, borykają się za bary z mrokiem i głupotą otoczenia.

Przepływa przez zaułki Warszawy, Łodzi, Zagłębia rozbity, złamany lud. Zdruzgotane są święte nadzieje. Ileż sumień zaprzedanych! Był popyt na znikczemnienie. Jest teraz podaż. Jak szczelny włok, coraz szerzej rozszerza się ciemność ducha w głębi bezdomnego pogłowia.

Coraz głębiej, aż do ostatniej granicy przechodzi pęknięcie przez serca samotne, które trwogi nigdy nie znały. Patrzyły na zawodność każdego z widziadeł ducha, a teraz mają poznać ostatnie, polskie rozczarowanie, przed którego stwierdzeniem truchleje słowo.

Tylko egoizm nie stracił pewności siebie. Wdziewa teraz najuroczyściej biały swój płaszcz, nakłada biret. Wstąpiwszy w środek aktu straszliwej tragedii wskazuje laską na skira podłości w ciele ludu. On to jeden z dawna przewidział. Teraz mu się nareszcie zdarzyła sposobność zemsty na „przeklętym pokoleniu“ męczenników. Gdy dziś wygniłymi oczyma nędza nic nie widzi, a chuda jej ręka wyciąga pustą sakwę ku temu, kto ją napełni, jego pięknomówne usta jedyne plują w trup męczennika kołysany od wichru.

Młodości!

Wszystkiego dziedzicu!

O, pokolenie przyszłą wiosnę niosące!

Promień słoneczny po nocy, zza krawędzi mroku znowu wytryśnie.

Ciepły wiatr z południa powieje w trawy młode, we włosy i na lica dzieci wiejskich, po topielach dróg śpieszących do dalekich, biednych, z rzadka rozstawionych szkółek i ochron.

Rozkwitnie znowu wiśnia po sadach, w opłotkach brudnych wsi. ...

Zakuj się w żelazną zbroję woli, o młoda duszo! Niechaj twój umysł, nie skażony naszymi błędami, zaryje się z uporem Hoene-Wrońskiego w „liczbę, metal, trupie ciało“.

Pokonaj wszystkie hasła, mamidła i etykiety, kołyskę twoją otaczające. Ustami tak miłosiernymi i tak niezbłaganymi, jak usta Sakya-Muni zaprzysięgnij sobie poznanie siebie, które jest głównym sposobem do niezbędnego czynu: do przezwyciężenia bezwładu duszy polskiej.

Bezprzykładna hańba naszego świata jest hańbą każdej jednostki. W tej zbiorowości musi się narodzić geniusz polskiej natury. Z twoich zastępów musi wyjść człowiek nasz, w jednej osobie Żółkiewski i Mickiewicz, od którego czynów i słowa rozradują się popioły, zadrży lud jak długi i szeroki — i westchnie świat ku swemu Bogu.

Lecz nim ta potęga, dźwignia nowego żywota, pchnie ziemię leniwą, nim promień ten, życie tworzący padnie w błotne namuliska po spuszczeniu głębokich wód, musi się

głęboko wrzynać krzywy pług w płone nowizny. Niejedno ramię dostojne musi ciągnąć szlę, jak koń, gdy braknie konia. Ze wszystkiego wyzuci na obszarze świata musimy wynaleźć nowy pracy kierunek. Jak ludzie dzicy z dwu kawałków drewna, które zostawi w naszym ręku los, musimy szalonym naszym entuzjazmem i niestrudzonym uporem wywiercić ogień nowy.

Niech się ocknie i pokaże dobosz nowej Pracy i nowej Sprawy!

Niech oczy nasze z tęsknoty zgorzałe zobaczą jego natchnione oblicze.

Niech bije głos jego pobudki w błony ran ledwie zawściągnione, w jamy oczu wygniłych z łez, w srom ręki ściskającej sakwę, gdy drży nagi plemienia duch — i w najgłębsze pęknięcie polskiego serca. Niech tłumi swarliwy bełkot publiczny.

Nie chcemy, o nadchodząca dzielności zająknąć się od narzucenia ci naszej woli — ani ci schlebiać.

Tylko serca nasze drżą do tej wiary, że ty się nisko schylisz do czarnych stóp cierpiącego w ojczyźnie człowieka, a on cię pasować będzie na swego rycerza. A gdy się dźwigniesz i rozciągniesz ramiona, zedrzesz z dłoni rękawicę i ciśniesz ją z wyzwaniem na walkę do ostatniego tchu oszustwu, co w masce cnoty i prawa przechadza się po naszym świecie. Serca nasze drżą do tej wiary, że to ty wytępisz w duszach dufanie polskie w samochwalstwo i zmusisz do milczenia usta pochlebcy. Gdy ujmiesz w rękę żagiew prawdy, pójdziesz wbrew leniwym, bezwolnym, jałowym powzięciom tłumu, wbrew zaskorupiałym opiniom partyjnym, wbrew ufortyfikowanym obozom księży, szlachty, fabrykantów, robotników, chłopów i mieszczan.

Albowiem — kto się opiera o lud, nie jest z ludem. Kto jest z ludem, ten mu nie schlebia. Człowiek, co czci człowieka, opiera się tylko na sobie. Kto się opiera tylko na sobie, ten walczy aż do śmierci ze wszelkim mrokiem zalegającym odłamy, na które rozszczepił się naród. Kto nie drży przed podjęciem walki z tak rozszarpanym ideałem narodu, ten się bije o całego człowieka, o wolność ducha tęskniącego w cielesnym więzieniu i o święte widziadło wielkiego L u d u przyszłości.

Grudzień, 1907 r.